

## **Czekałyśmy na śmierć**

**Rozmowa z Łucją Janosz z Pszczyny, więźniarką KL Auschwitz i KL Ravensbrück.**

**Łucja Janosz:** – Co panią interesuje? Który etap życia?

– **Wszystko, od dzieciństwa. Czyli zaczynamy od Suszca, bo tam się pani urodziła.**

– Tak. Choć właściwie mówili na ten rejon Branica. Było tam tylko parę domów, w lesie.

– **Bo ojciec był gajowym księcia pszczyńskiego.**

– Najpierw był gajowym (do 1937 r. ksiązęcem), potem leśniczym. Mieszkaliśmy obok leśniczówki. Od szóstego roku życia chodziłam do szkoły w Kryrach.

– **Ile w domu było dzieci?**

– Dziewięcioro. Mama była bardzo ładną kobietą, pięknie szyła. Zawsze prowadziła nas do kościoła, brała nawet malutkie dzieci. Ciężko jednak zachorowała, rok i trzy miesiące była w szpitalu. Gdy miałam 7 lat, przeprowadziliśmy się do gajówki w Woli (stoi do dziś).

– **Czyli niełatwo było już przed wojną.**

– Mama wróciła po leczeniu do domu i wszystko było dobrze. Z Woli pamiętam, jak koło naszej gajówki co roku na obóz przyjeżdżali harcerze gdzieś spod Katowic. Stół mieli zrobiony z darni ziemi z harcerskimi emblematami na górze. Po wodę chodzili do naszej studni (mam nawet zdjęcie).

– **Śpiewali przy ognisku?**

– Ojej! Przedstawienia też były, na które miejscowi mogli przyjść. Nawet ksiądz z Woli przychodził na ognisko.

– **Pani ojciec, Paweł Otręba, był powstańcem śląskim. Opowiadał o powstaniach?**

– Nie.

– **Czuł się zawsze Polakiem.**

– No pewnie, że był Polakiem! Zawsze.

– **Bo to różnie bywało. Śląsk ma skomplikowaną historię.**

– Dużo osób do Volksbundu nawet należało... U nas w domu przed wojną na ścianie wisały godło Polski, portret Rydza-Śmigłego i Mościckiego. Jeszcze zanim weszli Niemcy, mama zawinęła w prześcieradło obrazy i pamiętam, jak zakopałyśmy to w ogródku.

**– 1939 r.**

– Gdy wojna wybuchła, przez las dróżką jechał niemiecki czołg. Siedział na nim gajowy z Ćwiklic. Pyta: „Wo ist Otręba?”. Mama mówi, że nie ma go, poszedł do lasu. A ten odpowiedział: „Z powstańcami »pu« gemacht”, i pokazał, jak się strzela. Wiem, że aresztowano powstańca Larysza i innych. Mama potem mówiła, że rozstrzeliwano powstańców w parku pszczyńskim. Przyszli więc też po ojca, który w międzyczasie jednak wziął brata Pawła i jeszcze z sołtysem Niesytą i Kasolikiem, kierownikiem szkoły z Międzyrzecza, uciekali na wschód. Ojciec wrócił po sześciu tygodniach. Poszedł do nadleśnictwa, ale usłyszał od pracującego tam Szwarca, że nie jest potrzebny w niemieckim nadleśnictwie, tylko: ma iść sobie do Polski. Ojciec został więc bez pracy. Potem znalazł robotę jako drwal, kopał też rowy w lesie.

**– Ukrywać musiał się pani starszy brat Franek.**

– Bo gdy w 1940 r. był pobór do wojska niemieckiego, on wystąpił i powiedział, że nie pójdzie, gdyż jest Polakiem. Za nim wystąpiło kilku jego kolegów. Na drugi dzień przyjechali aresztować brata. Gestapowcy mieli już Norka, Niesytę i Mamoka. Franek odtąd musiał się ukrywać. Mieliśmy znak, że gdy butelka będzie na słupku z płotu, znaczy, że Niemcy są u nas.

**– Czyli gdy Franek zobaczył butelkę na płocie, wiedział, że nie może wrócić do domu. A często przychodzili gestapowcy?**

– Stale. Nawet zaglądali do dziewczki na ciasto! A przecież tam by się nie zmieścił!

**– Już wtedy Franek działał w partyzantce?**

– Zaczął organizować chłopaków, szwagra też wciągnął – Józefa Niesyto z Bojszów. Gdy chłopcy przychodzili z wojska niemieckiego na urlop, kontaktowali się z Frankiem i dezertowali, np. Albin Świerkot.

**– Jak działali?**

– Napadali na niemieckie urzędy, zabierali maszyny do pisania, niszczyli dokumenty. Mieli kryjówki w lesie za Suszczem.

**– Wasza rodzina musiała się wyprowadzić z leśniczówki w Woli.**

– Musieliśmy się przenieść do Międzyrzecza, do jednej izby. Kuchnia była duża, w pokoju zmieściły się dwa łóżka i szafa.

**– Na 11-osobową rodzinę to było?**

– Tak. A do naszego domu w Woli przeprowadził się inny leśniczy. Pamiętam, jak jego żona powiedziała mnie i mamie, że już powinniśmy być w Oświęcimiu. Mój ojciec miał przy domu warsztat stolarski – zabrali to wszystko. Krowę nam też zabrali. I poszczuli nas psami.

**– To byli Polacy?**



– Polacy. Ale nie z Woli, skądś z powiatu pszczyńskiego.

– **Z Międzyrzecza znowu się przeprowadzaliście, prawda?**

– Do Studzionki. I tam mieliśmy cały dom. Jeszcze w Międzyrzeczu przyszedł raz do nas żandarm i kazał mamie pozaklejać polski napis na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej i w kapliczce przed domem coś tam zdjąć (widocznie też był jakiś polski napis). Mama strasznie płakała, bo miała poczucie winy, że znieważyla Matkę Boską. Dała potem do kapliczki coś haftowanego.

Mama była też człowiekiem, który litował się nad każdym biedakiem. Zawsze pomagała, karmiła, już przed wojną: kobiecie z dzieckiem dała pieluchy, wózek; jednemu dała czyste ubrania, bo był zawszony, brudny.

– **I wiosną 1943 r. przyszedł do waszego domu w Studzionce pewien rosyjski biedak...**

– To był jeniec, który uciekł z niewoli niemieckiej – kapitan Armii Czerwonej Gregory Komorow (Grisza). Zapukał. Mama myślała najpierw, że to znów gestapo. Otwiera i słyszy: „Chleba!”. Nakarmiła go. Ukrył się w stodole. Chciał dostać się do partyzantki, Franek zaopatrzył go w broń.

– **Ukrywanie uciekiniera było ryzykiem.**

– Ojciec powiedział tylko do mamy: „Co ty robisz?”. Ale przecież stodoła się nie zamykała, mógł w każdej chwili każdy sam tam wejść. Nie musieliśmy o tym wiedzieć!

– **To tłumaczenie nie przekonało, jak rozumiem, Niemców.**

– Znaleźli marynarkę Griszy w stodole.

– **Jak się Niemcy dowiedzieli, że u was ktoś jest?**

– Znowu mieliśmy się przeprowadzić do innego mieszkania. Nasz dom przyszedł oglądać Niemiec Szyra. Rosjanin ukrył się wtedy w lesie. Musiał widzieć go jednak gospodarz, który był na polu niedaleko naszego domu. Szyra pobiegł we wskazanym przez niego kierunku, słysząc było strzał i straszne krzyki. Postrzelił jeńca w rękę i narządy płciowe. A Grisza sam sobie potem strzelił w głowę, by uniknąć tortur. Szyra ściągnął gestapowców. Przynieśli zwłoki Rosjanina na noszach zrobionych z drabinki. Ja musiałam mu zmyć twarz wodą, bo był cały we krwi. Ustawili nas, wszystkie dzieci, wokół, i każde dziecko z osobna było pytane, czy go rozpoznajemy. Najmłodszych chłopców (7-letniego Stasia i 11-letniego Ryśka) częstowali nawet cukierkami, by przyznali się, że mężczyzna był u nas. Żadne nic nie powiedziało. Niemcy znaleźli tylko później tę kurtkę.

– **Aresztowali was?**

– Mnie, brata Józka i mamę wzięli na przesłuchania w Pszczynie. Do niczego się nie przyznawaliśmy. Pytali o Franka, ale mówiliśmy, że nie wiemy, gdzie jest. Zawieźli nas do Auschwitz, do Bloku 11. Od blokowej dowiedzieliśmy się po jakimś czasie, że przywieziono też partyzantów; jednego dnia aresztowano 130 osób, które im pomagały. Przywieziono nas

znów do Pszczyny na konfrontacje i „przesłuchy”. Podeszło do mnie trzech Niemców: „Nie chciałaś braciszka wydać, nie chciałaś. Będziecie wszyscy wisieć do góry nogami”. Rozpłakałam się. Widziałam potem Franka, jak przechodził, cały był posiniaczony.

**— Też był wśród aresztowanych?**

— Franek był oskarżany o zastrzelenie gestapowca. Jechał na rowerze przez las, na zakręcie zobaczył gestapowców. Nie mógł uciekać, bo byli blisko. Udawał, że mu się rower zepsuł. Oni: „Hande hoch!”. Zaczęła się strzelanina. Zginął jeden Niemiec. Franek uciekł, ale w rowerze zostały dokumenty kolegi, Pastuszki. Całą rodzinę Pastuszków Niemcy wtedy aresztowali. Były pogłoski, że ich będą wieszać na rynku w Pszczynie. Przewieźli ich do Mysłowic, gdzie został jedynie Alojzy, pozostałych członków rodziny zwolnili, bo byli świadkowie, którzy powiedzieli, że w momencie, gdy doszło do mordu gestapowca, Pastuszkowie przebywali w domu. Franka aresztowali, gdy była obława w Baranowicach, gdzie partyzanci mieli siedzibę i bunkry. To był dom rodziny Brańczyk-Zielonka. Syna tych państwa nawet Niemcy nie dowieźli do Oświęcimia, już wcześniej go zakatowali. Dom spalono.

Tu jest jeszcze jeden wątek, którego nie poruszyłam: o konfidencie, który przeniknął do partyzantki. Siostra Waleria poznała żonę jednego dentysty (polska rodzina, u której nawet partyzanci zaopatrywali się w broń). Ta kobieta przyjechała do Waleski z wojskowym Figoluszką (przedstawił się jako porucznik Zygmunt), który niby chciał wspomóc partyzantów. Mówił, że są grupy w Beskidach, ma z nimi kontakt...

**— A współpracował z Niemcami?**

— Tak.

**— Co się z wami działo po tych przesłuchaniach w Pszczynie?**

— Prowadzono nas główną ulicą (by zrobić pokazówkę) w stronę rynku. Pomyślałam, że na rozstrzelanie. Ale skręcili w lewo, do więzienia. Po jakimś czasie wywieziono nas znów do Oświęcimia. Józka, ojca, Walerkę i mnie, a także Grzechnikową, Świerkotową, trzy osoby z rodziny Wierów. Kilkanaście osób. Było to 7 lutego. Pamiętam datę, bo to urodziny ojca.

**— A mama?**

— Cały czas była w więzieniu. Małe dzieci (13-letnia Klara, 11-letni Rysiek i 7-letni Stasiu) zostały przesiedlone do domu w Mizerowie. Same tam były. Siostra Marysia pracowała podczas okupacji u niemieckiego leśniczego, a potem w Bojszowach u Niemki o nazwisku Kędzior. Aresztowali Marysię, ale Niemka powiedziała, że dziewczyna nie ma nic wspólnego z partyzantką, bo cały czas u niej mieszka. Marysię więc wypuszczono. Nie mogła jednak pojechać do rodzeństwa.

**— W KL Auschwitz znów trafiliście do Bloku 11?**

— Tak. Spisywano nas. Gdy podałam nazwisko Otręba, Niemiec skoczył z krzykiem: „Banditen! Banditen!”. Ale mnie nie bił. Podzielili osobno kobiety (byłam z siostrą Walercią),



osobno mężczyźni. A partyzantów, w tym brata, wsadzili do bunkrów, które były w podziemiach Bloku 11. Na ścianie w celi Bloku 11 do dziś widnieje wyryty napis: „15.12.43 – Franek Otręba”. Widziałyśmy partyzantów, jak ich wyprowadzili. Franka też widziałam. Czasem udało im się podrzucić kawałek chleba.

**– Po co was tam trzymali?**

– Czekaliśmy na śmierć. Czasem blokowy wołał „Achtung!” i wywoływano kobietę. Już nie wracała. Jeden więzień, fryzjer, nas golił.

**– Głowy?**

– Nie. Pachy i na dole. Na stołeczku kazali nam stanąć nago. Ja się tak wstydziłam, oczy zakryłam rękami i płakałam. Ten, co golił, mówił: „Nie róbcie tu cyrku, bo to jest moja powinność, a może przyjsć esesman”. Wychodzić z bloku nie było wolno. Puszczali nas może raz w tygodniu na spacer.

**– Jak długo tam byliście?**

– Osiem miesięcy. Potem nas wzięli na lagier, czyli do Birkenau. Siostra poszła wcześniej ode mnie. Ojciec został w głównym obozie. Mnie jednego dnia wywołali, dwie godziny czekałam przy bramie, a potem esesman wyprowadził do Brzezinki. Wpuścili mnie do łazni, gdzie siedziałam całą noc. Przybiegła jakaś wychudzona dziewczyna: „Lusiu, Lusiu!”. A ja: „Kto jesteś?”. Ona: „Walerka!”. Ja siostry nie poznałam, taka była chuda. Dostałam potem pasiak, pół szmaty na głowę i jakieś szmaty na nogi oraz drewniaki. Wtedy nie tatuowali już numerów, musiałam to jakoś przyszyć na pasiaku. Zamknęli mnie w 21 bloku.

**– Walerka była w tym samym lagrze?**

– Nie, ona była w B lagrze. Gdy panował tyfus, wszystko było u nas pozamykane, by się choroba nie rozprzestrzeniała, ona jakoś ukradkiem nosiła mi wodę, mimo że nie wolno było przechodzić pomiędzy lagrami.

**– Pani zachorowała?**

– Gorączkę miałam.

**– Dużo kobiet umierało?**

– Koło mojego baraku było takie miejsce, gdzie składowano trupy – same nagie ciała kobiece. Zwłoki brano za ręce i nogi, a potem ładowano na platformę czy wóz. Kiedyś przy tym stało dwoje płaczących dzieci. Matkę chyba widziały.

Pamiętam też, jak Cyganów likwidowali. Ogłoszono Lagerruhe – ciszę obozową, nie mogliśmy wychodzić z bloków. Dowiedziałam się dopiero później, co się wydarzyło: likwidowali całe rodziny cygańskie.

**– Jak wyglądało wasze życie w obozie?**

– Dostawaliśmy malutki chlebuś i był krojony na cztery części, dla czterech osób miał starczyć na dzień. Do mycia puszczano nas blokami, ale nie dało się dopchać, tak dużo było kobiet. A mycie odbywało się tylko w określonym czasie, po którym już nawet do ubikacji nie można było iść. Bielizna przez cały czas była ta sama. Gdy zmokliśmy, spałyśmy w tych mokrych pasiakach. Bo co można było zrobić?

**– A higiena związana z kobiecymi sprawami?**

– Nie miałyśmy tam okresu. Musieli nam coś chyba dawać... Ja jeszcze po wojnie z rok nie miałam okresu.

**– Jak długo była pani w Birkenau?**

– Dwa i pół miesiąca. W sierpniu 1944 r. przewieźli nas do Ravensbrück. Siostrę wywołali i gdzieś wywieźli. Ja wkrótce zostałam przydzielona do podobozu w Eberswalde. 700 osób, głód straszny. Jak dostaliśmy w sobotę w południe kawałek chleba i lichej zupy, kolejny posiłek był w poniedziałek w południe. Niektóre kobiety wszystko zjadały od razu. Ja zawsze robiłam tak, żeby choć raz móc rano cokolwiek ugryźć. Dawali nam też takie niby kartki żywnościowe. I raz któraś mi to ukradła, z całym woreczkiem.

**– Co było w tym woreczku oprócz kartki?**

– Kawałeczek chleba, by raz ugryźć. Głodna byłam potem tak, że koleżanka zalała mi wodą trawę – zjadłam, miało to gorzki smak. Na Boże Narodzenie dali nam trzy ziemniaczki w łupinach ugotowane i troszkę w szklance tartych ziemniaków zalanych wodą (niby zupa albo sos).

**– Pracowałyście w podobozie?**

– W fabryce zbrojeniowej. Przez tydzień na nocki, kolejny tydzień na dzień. Była to fabryka odlewów różnych części do samolotów, wozów pancernych. Stałyśmy przy długich stołach z imadłami, pilnikami i piłowałyśmy. W tym woreczku, który mi skradziono z chlebem, miałam też np. grzebień. To potem zrobiłam sobie grzebień ze stali, a łyżkę z aluminium.

**– W tym woreczku miała pani cały swój dobytek.**

– Wszystko, co miałam.

**– Do kiedy była pani w Eberswalde?**

– Front już był blisko, zamknęli fabrykę. Dali nam łopaty i kopaliśmy rowy przeciwzołgowe. Potem przewieźli nas znów do Ravensbrück. Esesmanka kazała zrywać numerki. Pamiętam, że siedzieli tam Żydzi. Przechodziłam obok, a oni mówili: „Wiecie, gdzie my wszyscy idziemy? Do nieba”. Pomyślałam, że jeśli Niemcy cokolwiek nam dadzą, to trafimy do transportu; jeśli nic nie dostaniemy, czeka nas krematorium. Dali nam malutkie paczki (był tam chyba jakiś smalec), załadowali do pociągu towarowego. Wody nie dostaliśmy, więc jak lokomotywa stała, czekałam, aż para skropi się do puszki. Jednego razu pociąg stanął w mieście. Więźniarki dowiedziały się, że w stojącej tam węglarce u góry są



suszone ziemniaki. Któraś ukradła gdzieś puszkę marmolady. Przyszedł esesman, kazał wysiadać. Chciał nas wszystkie rozstrzelać, jeśli się nikt nie przyzna. Przyznały się matka z córką. Zabrali dziewczynę, już nie wróciła. Innym razem prosiliśmy mieszkańców mijanej niemieckiej miejscowości, by nam dali surowych ziemniaków. Powiedzieli, że sami nie mają co jeść.

**– A gdzie was wywozili?**

– Do Szwecji. Hrabia Bernadotte wykupił więźniów, było to jeszcze przed wyzwoleniem. Załadowali nas na statek i przetransportowali do Malmö, gdzie przejął nas Szwedzki Czerwony Krzyż. Wykapali nas, dali mi bieliznę i ciepły płaszcz (sukienki dla mnie zabrakło). Spaliśmy w szkole na podłodze na takich jednorazowych podkładach, wszystko z ligniny, żeby można było spalić. Dużo tabletek nam dawali, jedzenie lekkostrawne. Dookoła pilnowali nas żołnierze szwedzcy, bo nie mogliśmy się zbliżyć do miejscowych.

**– Bali się zarazy?**

– Bali się. Potem zostaliśmy wywiezieni do Anneberg razem z uratowanymi Żydówkami, a następnie do kolejnej miejscowości (brzmiała jak Öresundsbrun). Przyjechał tam polski ksiądz, wypowiadałyśmy się. Pytali się nas: „Z czego wy się spowiadacie? Nie musicie!”. A ja mówię: „Jak się coś komu ukradło, np. kawałek chleba, to też grzech”. Bo nie powiedziałam pani... Nie mogłam w KL Ravensbrück spać z głodu. Mówię siostrze: „Walesko, jestem taka głodna”. To Waleska mówi: „Chodź ze mną”. Wzięłyśmy chleb, który był dla czterech osób na rano, i ja to wszystko zjadłam. A potem dostałam ataku śmiechu.

**– Z tych nerwów?**

– Ja nie wiem. Nie mogłam się uspokoić.

**– Walczyłyście o przeżycie.**

– W Szwecji byłam strasznie osłabiona. Gdyby jeszcze tydzień dłużej trwała podróż, chyba bym umarła.

**– Kiedy wróciła pani do Polski?**

– 2 listopada 1945 r. statkiem. Długo staliśmy przed wejściem do portu, bo tylko jeden pas był odminowany. W Gdyni dostałam przepustkę i 100 zł na powrót do domu. Potem jechałam pociągiem. Do Katowic byłam spokojna, a w drodze do Pszczyny były już coraz większe nerwy: czy ktoś z rodziny przeżył. Na dworcu zobaczyłam żołnierza, więc się go spytałam, czy autobusy jeżdżą do Bojszów (pomyślałam, że może tam jest kto z rodziny). A on do mnie się odezwał po rosyjsku i już mnie sobie jakby pilnował. W pobliżu był jednak człowiek, który to zauważył. Mówi mi, że mam się nie oddalać, bo ten Rusek mnie okradnie. Kazał poczekać i zabrał mnie do swego domu. Mimo że była to duża rodzina, dla mnie przygotowano osobny pokój z czystą pościelą. Żona tego człowieka (nazywał się Kocur) pytała, po co wracam, bo tu jest straszna bieda. Rano odprowadzili mnie na dworzec. Spotkałam tam wtedy dziewczynę, poznałam ją, nazywała się Krzysteczko. Spytałam, czy

wie, gdzie jest moja mama. Powiedziała, że mama wróciła, żyje, a ona u niej mieszka. Usłyszałam jednak, że tata nie żyje. Całą drogę płakałam. Przyszłam do domu, mama kroiliła kapustę. Walerki nie było w domu...

**– Walerka wcześniej wróciła?**

– Wcześniej, ona była w Buchenwaldzie. To też mogłaby być długa opowieść. Uciekła z transportu, pracowała u Niemki, Rusy ją okradli. Gdy ją wzięli do obozu, jej małego synka zabrali obcy ludzie. Po prostu przygarnęli to dziecko. Chłopczyk nie poznał mamy, gdy wróciła. „Jakaś Cyganka chce mnie zabrać!”. Przebrała się, umyła, przyzwyczała się, wychowywała go.

**– A jakie były losy Franka, brata-partyzanta? Ostatni raz go pani widziała w Auschwitz...**

– On zorganizował ucieczkę z obozu. Posłał mi gryps, że Albin Świerkot, kolega, uciekł z więzienia w Mysłowicach. I chyba jakoś za kilka dni on drutem otworzył drzwi w bunkrze i sześciu ich wyszło. Potem Franka na pewno wrzucili do stójki i ciemnego bunkra.

**– Za próbę ucieczki?**

– Tak. Ja potem słyszałam krzyki z cel na dole, szamotanie. Nie wiedziałam, że bili Franka.

**– Kiedy się pani dowiedziała, co się z Frankiem stało? Po wojnie dopiero?**

– Po wojnie. Mam afisz, na którym widnieje informacja, że Franek został powieszony w Gilowicach [koło Żywca], co było nieprawdą. Bo potem jest drugi afisz, że egzekucja jest w Dąbrowie Górniczej, ale tam się ona też nie odbyła. Prawdopodobnie jak ich więźli z Oświęcimia na egzekucję, musiał uciec. Koleżanka Klary widziała afisz z informacją, że Franek jest poszukiwany.

**– A czemu przewozili ich na egzekucję?**

– Bo to miały być pokazowe egzekucje. Szwagra, Józefa Niesyto (męża Walerki), powiesili w Oldrzychowicach. Zgonili całą wieś, by patrzyła.

**– Dla zastraszenia: „Patrzcie, jak kończy partyzant”.**

– Tak. Chłopcy krzyczeli przed śmiercią: „Niech żyje Polska!”, ale potem im chyba dawali zastrzyk, bo nie mogli wydobyć głosu, tylko otwierali usta.

Ale wróćmy do Franka. Prawdopodobnie uciekł. Siostra, która pracowała w Bojszowach, mówiła, że raz ktoś zapukał do okna: „Marysiu, ja uciekłem”. Gospodyni, Niemka, zaraz jednak wyszła: „Wer ist da?”. I on się oddalił.

**– Mógł to być Franek?**

– Być może potem poszedł do człowieka, o którym myślał, że mu pomoże, bo jego żona też była w Oświęcimiu. Ale to był kolejny kapuś.



**– Ale tego nie wiadomo.**

– Niech pani posłucha. Franek podobno poszedł do Grzechnika. I ktoś potem widział, jak wynoszono zwłoki w prześcieradle. Ten konfident tłumaczył, że to była świnia ubita. A ktoś miał dopowiedzieć: „Tylko że ta świnia miała buty”. Mama dowiedziała się o tym i napisała list do konfidenta, że będzie odpowiadał przed sądem za śmierć Franka. Nie było odpowiedzi, ale po niedługim czasie ten człowiek się zastrzelił. Czy to nie dowód, że zdradził?

**– Dlaczego ktoś mógłby coś takiego zrobić? Dlaczego miałby wydać drugiego człowieka na śmierć zamiast mu pomóc? Ze strachu?**

– Wie pani co? Dla pieniędzy. Była wyznaczona nagroda 20 tysięcy marek: kto wskaże gdzie się znajduje Franciszek Otręba. Afisze były rozklejone.

**– W archiwach, nie tylko w Auschwitz, ale np. w Arolsen, nie ma informacji, co się stało z Franciszkiem?**

– Nie ma. Przypuszczamy, że tak właśnie zginął.

**– A pani tata?**

– Zginął w KL Mauthausen. Podczas ewakuacji Auschwitz szedł pieszo w marszu śmierci przez Pszczynę do Wodzisławia. Polak ze Studzionki, Misiarz, widział go na trasie. Wywieźli ojca do Mauthausen, pracował w komando Melk. 16 marca 1945 r. zmarł na serce – tak napisali w niemieckiej dokumentacji. Profesor Folek, kolega ojca, też więzień, mówił mamie po wojnie, że widział ojca na apelu i zauważył, że był opuchnięty.

**– Franek nie wrócił, tata nie wrócił...**

– I brat Józek nie wrócił. Przenosili go z obozu do obozu. Nie wiadomo, w którym i jak zginął.

**– A ta trójka dzieci, które same zostały w Mizerowie. Ktoś im pomagał przetrwać?**

– Mama pisała do kuzynki, która pracowała u krewnych, by pomagała przy dzieciach. Chodzili do szkoły, a po lekcjach pracowali w jakimś majątku niemieckim, żeby mieć za co żyć. Domem zajmowała się 13-letnia Klara, gotowała, prała... Niemka, która tam mieszkała, donosiła na dzieci, że mówią i śpiewają po polsku – żandarm przychodził więc na kontrole. Do tego domu zapukali też Żydzi, uciekinierzy z marszu śmierci. Klara, Rysiu i Stasiu dali im jedzenie i ubrania. Po wojnie ktoś pytał o dzieci, które pomogły więźniom.

**– Co z panią się działo po powrocie ze Szwecji?**

– Poszłyśmy z Walerką do urzędu pracy, szukając zatrudnienia. Była tam kierowniczką, która chciała nas wysłać do pracy fizycznej w PGR-ze. Spytałyśmy, czy nie ma dla nas innego zajęcia. Powiedziała: „Wyście tam cierpieli, a my cierpieliśmy tutaj”.

**– Wiedziała, że wróciłyście z obozów?**

– Wiedziała. Rozpłakałam się. Wie pani, ja patrzyłam, co się wokół dzieje: Niemcy byli na wolności, a do tego pracowali w urzędach!

– **Widziała pani ludzi, przez których tyle wycierpiała pani rodzina, bo donosili, współpracowali z Niemcami, a teraz nie tylko byli na wolności, ale mieli ciepłe posadki u komunistów?**

– Właśnie! Żona tego leśniczego, która nas szczuła psami, wyrzucając z domu w Woli, po wojnie przyniosła mojej mamie żywego królika: „Otrymbino, zapomnijcie o wszystkim!”. Królik na drugi dzień zdechł...

– **Dostała pani w końcu pracę?**

– Strasznie zachorowałam: byłam cała owrzodzona, nie mogłam chodzić. Doktor Kujawska, która z córkami też była w obozie, nade mną płakała. Gdy się podleczyłam, poszłam do pracy w RKW (potem to była Wojskowa Komenda Uzupełnień). Byłam już właściwie przyjęta, zrobili szczegółowy wywiad, wypytywali o obozy. Ale potem przyszło pismo z pytaniem, czy ktoś przebywa za granicą. Podałam brata Pawła, który przeżył wojnę. Był na robotach, potem zabrali go do wojska niemieckiego, ale uciekł do francuskiej partyzantki, a w końcu znalazł się w Wojsku Polskim. Został w Anglii. Gdy to wyszło na jaw, okazało się, że jest to przeszkoda, bym mogła dostać w Polsce pracę. I koniec.

Mama napisała list do Pawła, że w czasie wojny cierpiała za jednego syna, po wojnie za drugiego... Długo się nie odzywał. Ale potem przyjechał, my byliśmy u niego w Londynie...

– **Zaangażowała się pani w działalność kombatancką, zbierała wspomnienia, dokumenty.**

– Przez około 60 lat pracowałam społecznie. Jeździłam na prelekcje, Walerkę woziłam.

– **Na prelekcje o obozach?**

– Tak, o Auschwitz. I powstańców woziłam samochodem, by opowiadali o powstaniach... Nigdy nie zapisałam się do partii. Mój prezes mówił: „Wszyscy należą, tylko Janoszowa nie należy”.

– **Gdy tak rozmawialiście w rodzinie po wojnie, nie było takiej myśli, że ten patriotyzm rodziny Otrębów, tak bardzo kochającej Polskę i czującej się Polakami, jednak strasznie wiele ją kosztował? Wielu na Śląsku nie buntowało się, szło do wojska niemieckiego, nie cierpieło w obozach.**

– [zamyślona] Tak się stało. Tak się to stało...

– **To było bohaterstwo.**

– Pamiętam mamę, gdy nas aresztowali. Otwarli celę, pobiegłam do niej. Siedziała skulona w kącie i tak strasznie płakała. Bałam się o nią, że dostanie pomieszania zmysłów.



– Czy rodzina Otrębów jest postrzegana w regionie, okolicy, jako rodzina bohaterska? Jest jakoś upamiętniona, chociażby nazwą ulicy?

– Nie. Jest w Pszczynie osiedle Powstańców Śląskich, ale nazwiskiem naszego ojca nie nazwano żadnej z ulic.

– Może trzeba byłoby się postarać?

– Pisałam w tej sprawie. Była odmowa.

– Bo?

– Że mieszkańcy się nie zgadzają, by taka ulica była.

– A dlaczego się nie zgodzili?

– W jednym piśmie jest napisane, że ojciec mieszkał w Suszcu i tam powinnam wysłać pismo. Miało być coś przy Trzech Dębach... Ale jakoś cisza. Mam znów chodzić, prosić? Wie pani, ja nie mam już siły. ☹

[ramka]

Zginęli:

**Paweł Otręba** (ojciec), ur. 1888 r., powstaniec śląski, aresztowany 23.01.1944 r., więziony w Pszczynie, potem w KL Auschwitz, nr 188550, 25.01.1945 r. przewieziony do KL Mauthausen (komando Melk), nr 118161, gdzie 16.03.1945 r. zmarł. Nie wiadomo, gdzie jest pochowany.

**Józef Otręba** (brat), ur. 1923, partyzant, aresztowany i osadzony w KL Auschwitz nr 114436, KL Gross Rosen, KL Sachsenhausen nr 86393; 13.02.1945 przeniesiony do KL Ravensbruck nr 8853; 2.03.1945 przetransportowany do KL Mittelbau/komando Ellrich i Nordhausen. Nie wiadomo, gdzie jest pochowany.

**Franciszek Otręba** (brat), ur. 1920, utalentowany muzycznie (grał na trąbce, akordeonie, gitarze, mandolinie); w czasie wojny ps. Mizerowski, organizował ZWZ. Tworzył tzw. system piątkowy w Woli i okolicy. Gromadził i magazynował broń, amunicję. W 1942 r. utworzono oddział partyzancki, którego był dowódcą do wiosny 1943 r. Wg afisza (obwieszczenie o egzekucji) miał zostać stracony w Dąbrowie Górniczej 27.07.1944 r. Nie wiadomo, gdzie jest pochowany.

**Józef Niesyto** (szwagier), ur. 1912, partyzant, więziony w KL Auschwitz, według afisza został stracony w Olbrzychowicach w czasie publicznej egzekucji. Nie wiadomo, gdzie jest pochowany. W Czechach jest tylko pomnik upamiętniający ofiary egzekucji. *(na podst. materiałów Ł. Janosz)*

Notka biograficzna

**Łucja JANOSZ** z domu Otręba (pisownia także Otremba), ur. 1926 w Suszcu, córka Agnieszki i Pawła Otrębów. Aresztowana przez gestapo 23.09.1943 r. w Studzionce, więziona w Pszczynie, następnie w KL Auschwitz, Blok 11 (tzw. Blok Śmierci), gdzie przebywała do 29.05.1944, przeniesiona do KL Auschwitz-Birkenau, nr więźnia 79875. W sierpniu 1944 r. wywieziona do KL Ravensbrück, numer więźnia 55557, skierowana do podobozu Erbeswalde. Po wyzwoleniu obozu przewieziona do Szwecji, do Polski wróciła 2.11.1945 r. W 1947 r. wyszła za mąż za Franciszka Janosza i do 1982 r. prowadzili gospodarstwo rolne w Pszczynie. Wychowali troje dzieci. Mąż zmarł w 2005 r.

Pani Łucja za swą działalność społeczną została wyróżniona wieloma odznaczeniami, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Oświęcimskim, Krzyżem Armii Krajowej, Honorowym Krzyżem Wojska Polskiego. Ma stopień porucznika.

Jeden z młodszych braci pani Łucji, Ryszard Otręba, jest artystą grafikiem, profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jego twórczość ma wiele odniesień do tematyki Auschwitz.

Wnuczką pani Łucji jest piosenkarka Alicja Janosz.